

Z jednej gliny

W serii

Babie lato



Małgorzata Gutowska-Adamczyk
Serenada, czyli moje życie niecodzienne

Romuald Pawlak *Póki pies nas nie rozłączy*

Romuald Pawlak *Związek do remontu*

Katarzyna Zyskowska-Ignaciak *Niebieskie migdały*

Katarzyna Zyskowska-Ignaciak *Przebudzenie*

Katarzyna Zyskowska-Ignaciak *Ucieczka znad rozlewiska*

Karolina Świącicka *Lalki*

Małgorzata Maciejewska *Zemsta*

Kasia Bulicz-Kasprzak

Nie licząc kota, czyli kolejna historia miłosna

Kasia Bulicz-Kasprzak *Nalewka zapomnienia,
czyli bajka dla nieco starszych dziewczynek*

Izabela Sowa *Zielone jabłuszko*

Magdalena Witkiewicz *Ballada o ciotce Matyldzie*

Iwona Banach *Szczęśliwy pech*

Liliana Fabisińska *Z jednej gliny*

W przygotowaniu

Małgorzata Thiele *Trzy panie w samochodzie*

Anna M. Brengos *Scenariusz z życia*

Liliana Fabisińska



Z jednej gliny



Wydawnictwo
Nasza Księgarnia

Text © copyright by Liliana Fabisińska, 2014

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014

Projekt layoutu scii *Olga Reszelska*

Projekt okładki *Karia Korobkiewicz*

Zdjęcia na okładce:

© gennadiy75 – Fotolia.com

© Franz Pfluegl | Dreamstime.com

Cześć, jestem Lena. Chciałam po prostu spróbować. Na razie popatrzę, dobrze? Mogę? Nie jestem pewna, czy to dla mnie właściwe miejsce... Zwyczajnie popatrzę. Mogę?

Jestem Gośka. Nie żadna tam Małgorzata. Czy ja wyglądam na Małgorzatę? Małgorzata to może być królowa albo jakaś aktorka. A ja jestem Gośka. Zobaczyłam plakat, no i przyszłam. Normalnie we czwartki mam próby chóru. Śpiewam gospel. No, to tak naprawdę nie gospel. Gospel jest religijny, a ja akurat nie jestem specjalnie religijna. Nasz zespół śpiewa... no, taki świecki gospel. We czwartki o tej porze zwykle śpiewam. Ale przez najbliższe pół roku nie mogę, ze względów zdrowotnych. Głupia sprawa, opowiem przy okazji. Najważniejsze, że jak zobaczyłam ten plakat, to od razu pomyślałam, że mogę spróbować. Czemu nie, skoro akurat mam wolne czwartki od osiemnastej do dwudziestej. Nie wierzę w przeznaczenie, lecz to było prawie jak przeznaczenie. Przecież normalnie nie przechodzę tą ulicą. Znalazłam się tu pierwszy raz w życiu, przypadkiem, u dziewczyny, która kupiła moje kimono. Chodziłam na samoobronę,

no ale już nie mogę... Pierwszy taki przypadek w historii. Długo by opowiadać. No tak, ja zawsze za dużo gadam. Już kończę. Zobaczyłam plakat, przyszłam, i już. Koniec, kropka. Nie wiem, co prawda, czy powinnam zaczynać coś nowego. Prawdopodobnie za cztery miesiące wyjadę z Polski na stałe. Z drugiej strony miski i kubki mogę robić wszędzie, prawda? Ta wiedza może się przydać. Mogłabym nawet robić butle na wino, dla specjalnych klientów... Dobra, już, przerwijcie mi! Jak zacznę opowiadać o winnicy, to nigdy nie skończę! No bo ta winnica...

Przerwać? Proszę bardzo. Przerrywam. Mam na imię Marta. I nie rozumiem za bardzo, dlaczego mamy mówić coś o sobie. I dlaczego koniecznie musimy być na ty. Jak ktoś zechce, to przejdzie na ty, a jak nie, to nie, tak? Ale chyba zostałam przegłosowana, więc zgoda, nazywajcie mnie po prostu Marta. Chociaż wciąż nie rozumiem, po co to całe przedstawianie się na dzień dobry. To przecież nie randka w ciemno ani grupa wsparcia, tak? Nie musimy chyba nic o sobie wiedzieć, żeby działać efektywnie i razem. Wolalabym, żeby ktoś powieździał coś więcej o tym, co będziemy robić, w jakim tempie, co jest wliczone w cenę, a co nie. Czy jest wydrukowany program na cały rok? Chciałabym się z nim zapoznać, jeśli można. Jak to: nie ma? Więc jak organizator wyobraża sobie zajęcia, skoro nie przygotował programu? To jakieś żarty, tak? Wątpię, czy ten kurs w ogóle jest zarejestrowany. Czy można zobaczyć licencję na prowadzenie zajęć i kopię dyplomu instruktora? Jeżeli ta pracownia działa na dziko, to chyba należało-

by to gdzieś zgłosić. Nic nie powinnyśmy tolerować takich rzeczy, prawda? Mamy prawo wiedzieć, za co płacimy! Tyle się mówi o konkurencyjności, o wysokiej jakości usług, a tu ktoś otwarcie reklamuje swoją nielegalną działalność na słupach! Gdzie, do cholery, jest organizator?!

Mam na imię Nora. Organizator to właściwie jestem ja... Więc... No tak. Witam was serdecznie, bardzo się cieszę, że przyszyście. Mam nadzieję, że będziecie zadowolone z tego, co mam do zaproponowania. Oczywiście, możemy wspólnie modyfikować plan, zając się tym, co najbardziej wam odpowiada. Przecież jestem tu dla was...

Może chcecie na początek obejrzyć pracownię? Przygotowałam album, trochę zdjęć, żebyście zorientowały się, jakie piękne rzeczy możecie zrobić z gliny własnymi rękami. Chciałabym...

Nie, chyba... nie, to bez sensu. Przepraszam. Nie... muszę wam to powiedzieć od razu. Widzicie, ja nie mam żadnej szkoły, kursu, żadnego dyplomu instruktora. Po prostu... Jestem ja. Nic nigdzie nie zarejestrowałam. I właściwie wcale nie jestem nauczycielką, sama też dopiero się uczę. I...

Przepraszam...

Pójdę, zaparzę herbatę, dobrze?

Przepraszam, jeśli to nie jest to, czego oczekiwaliście. Chyba się pomyliłam.

Rozdział 1

Trzy to za mało

NORA

Wiem, to nie było profesjonalne. Nie powinnam wybiegać z płaczem w chwili, kiedy należało powiedzieć kilka słów o sobie... i o tym, dlaczego rozwiesiłam te kolorowe plakaty. Miałam opracowaną wspaniałą mowę. Wydawało mi się, że wszystko przewidziałam. A jednak ten tekst o nielegalnej działalności trochę mnie przerósł. Trafił w czuły punkt. Bo przecież tak naprawdę to jest nielegalna działalność. Nie zarejestrowałam mojej szkoły. Nie opracowałam żadnego programu. No i nie mam żadnych uprawnień do prowadzenia zajęć. Po prostu... wydawało mi się, że to może być miłe. Kilka kobiet siedzących razem i lepiących garnki. Chyba byłam naiwna.

Zwłaszcza że tak naprawdę umiem niewiele więcej niż one. To, że byłam żoną jednego z najlepszych ceramików w Polsce, nie znaczy przecież, że sama mam talent. Patrzyłam, co robi. Fakt. Czasami pomagałam mu szkliwić wazoniki czy miski, jeśli miał duże zamówienie i wyjątkowo krótki termin. No ale szkliwienie to żadna filozofia, nawet nasi chłopcy pomagali przed Wielkanocą z tymi śmiesznymi glinianymi pisankami dla agencji reklamowej, która

zamówiła tysiąc sztuk. Nawet Jeremi, który skończył wtedy zaledwie trzy latka, trzymał w małej łapce pędzelek i robił nim kolorowe plamki na beżowym jajku, pokwikuując z radości. Szkliwienie to przecież nic innego jak malowanie, tyle że szkliwem, a nie farbą. Trzeba uważać, żeby nie pobrudzić ubrania – szkliwo potrafi wyżreć dziury na wylot w najładniejszej bluzce. Ale poza tym to naprawdę żadna filozofia, jeżeli tylko ktoś ci powie, które szkliwo jak zachowuje się w piecu, które cieknie, a które nie, które trzeba nakładać cienko, a które grubo. Za to toczenie na kole, rzeźbienie w glinie twarzy, a nawet łączenie elementów tak, żeby nie było tego później widać – to wszystko wciąż sprawia mi trudności.

Tak więc spójrzmy prawdzie w oczy, nie miałam prawa rozlepiać tych plakatów i wprowadzać ludzi w błąd. Dziewczyny mają rację. Zwłaszcza ta wysoka czarnula z kręconymi włosami. Wyprowadziła mnie z równowagi, lecz miała rację. Kurs powinien wyglądać zupełnie inaczej niż to, co im zaproponowałam. Fakt. Nie myślałam tylko, że od razu w drzwiach zorientują się, że nic nie potrafię i że to nie jest prawdziwa szkoła ceramiki.

No ale co powinnam na tym plakacie napisać? Że nie mam za co żyć? Czy może, że dotarło do mnie, że nie mam żadnych przyjaciółek, i wymyśliłam sobie, że zdobędę je w ten sposób? Że będziemy spędzać razem czas, jak kobiety w moim ukochanym *Przemieńło z wiatrem*? Mężczyźni byli na wojnie, a one siedziały, wyszywały pościel albo obrusy, robiły patchworki i rozmawiały całymi godzinami. Młode i stare, wesołe i poważne, mężatki, panny i wdowy, matki i bezdzietne. Wszystkie

razem. Właściwie to nawet nie wiem, co dokładnie one robiły, nie pamiętam. To chyba nie były patchworki? W tamtych czasach to musiało nazywać się jakoś inaczej. Grunt, że siedziały razem, tak po prostu. Pewnie wymieniały się przepisami kulinarnymi, jadły kruche ciasteczka i piły herbatę z konfiturami. Te starsze radziły tym niedoświadczonym, jak postępować z mężczyznami, te młode pocieszały starsze po śmierci męża. Płakały, śmiały się, dyskutowały. A w dłoniach wciąż przesuwały te swoje koldry, szaliki, obrusy, z każdą godziną piękniejące pod ich czułym dotykiem.

Nie wiem, dlaczego przez chwilę wydawało mi się, że mój garaż, przerobiony przez Jacka na pracownię, może stać się takim właśnie miejscem. Że pracownia wcale nie musi zniknąć razem z nim. Zrobiłam tę kolorową tabliczkę, całkiem niczłe mi wyszła. Julek nawet nie musiał wchodzić na drabinę, aby powiesić ją nad drzwiami. Mój najstarszy syn niedługo będzie się schylał, wchodząc do garażu. 181 centymetrów w wieku trzynastu lat to chyba lekka przesada? „Norka u Nory” – myślałam, że to zabrzmia miło i jakoś tak przytulnie. Nawet całkiem niczłe narysowałam norkę, a przecież nie robiłam tego od lat. Kupiłam trzy gatunki herbaty i konfitury różane. Podkrađłam kilka monet ze skarbonki Jeremiego, obiecując sobie, że mu oddam dwa razy tyle, jak tylko te dziewczyny zapłacą za zajęcia.

Tak się cieszyłam, kiedy dzwoniły i pytały, kiedy pierwsze spotkanie. Telefonowało chyba z dziesięć kobiet, przyszły tylko trzy. No i dobrze, więcej i tak by się nie zmieściło, przynajmniej na razie, dopóki nie przesunę picca i nie kupię jeszcze jednego stołu – myślałam, mówiąc im „dzień dobry”. Teraz

to już bez znaczenia. Nie potrzebuję dodatkowego stołu. Sama powinnam zapisać się na kurs ceramiki, zamiast otwierać własny. Tak, kilka miesięcy nauki chyba wystarczyło. Tylko, cholera, jak mam za to zapłacić?! Narzędziami Jacka? Jakiś mężczyzna już tu dzwonił, zapytał, czy sprzedaję koło i piec. Nie sprzedaję. Nie ma mowy. Moglibyśmy przeżyć za to dwa czy trzy miesiące... No, razem z piecem to może i pół roku. Jest prawie nowy i kosztował fortunę. Tak, wystarczyłoby do wiosny. Ale co potem? Przecież ta pracownia to wszystko, co mam, oprócz kupy długów.

„Mamy w piwnicy prawdziwy skarb, będziemy kiedyś bardzo bogaci, zobaczysz” – powtarzał Jacek, patrząc czule na tonę gliny szamotowej, leżącej pod ścianą, i kolekcję szkliv, przywożonych przez znajomych, na zamówienie, z najdziwniejszych zakątków świata.

Skarb, jasne... Szkoda tylko, że nie dał mi klucza do tego naszego rodzinnego skarbcza! A może powinnam po prostu powiedzieć o północy przy pełni księżyca: „Sezamic, otwórz się!”. Nic z tego. Nie działa. Nie mogę wyjąć ani jednej złotej monety.

Jacek, cholera, Jacek, jak mogłeś mnie tak zostawić? Mnie i swoich synów? Przecież obiecywałeś. Przecież miało być zupełnie inaczej!

MARTA

Wiem, nie powinnam tak na nią naskakiwać. Nie naskoczyłabym, gdybym wiedziała, że to ona zorganizowała ten

cały kurs. Ale przecież nie wiedziałam, tak? Skąd miałabym wiedzieć? Myślałam, że przyszła na pierwsze zajęcia tak jak my, że też nic nie wie i że czeka razem z nami na kogoś z organizatorów. Nie miała napisane na czole, że jest właścicielką tego niemalowanego chyba od piętnastu lat domu z krzywą bramą! I naszą pseudoinstruktorką!

To w ogóle był idiotyczny pomysł, ta cała ceramika. Ja przecież nie nadaję się do spokojnego dłubania w glinie. W życiu bym się na to nie zdecydowała, gdyby lekarz nie powiedział, że hobby może mi pomóc. W końcu lepiej lepić garnki przez parę tygodni, niż faszcerować się lekami i brać kosztowne zastrzyki, tak? Czytałam w sieci, że robi się je w brzuch. To ja bardzo dziękuję, wolę już glinę.

No, ale przecież nie u kobiety, która sama nie ma pojęcia, jak toczy się na kole! To jakaś pomyłka, ten niby-kurs. Chciałam wyjść i jak najszybciej zapomnieć o całej sprawie.

I wyszłabym, gdyby nie dwie pary wpatrzonych we mnie oskarżycielsko oczu. Ta gadatliwa, tęgawa dziewczyna w dressie, z włosami o dziwnym, lekko truskawkowym odcieniu, związanymi w jakieś śmieszne kitki, westchnęła przeciągle. Zaraz po niej niemal identyczne westchnienie wydała niższa o dwie głowy blondynka w garniturze. (Czy ona zwariowała? W garniturze na takie zajęcia? Przecież ta cała Nora mówiła wyraźnie przez telefon, żeby wziąć coś, czego nam nie żał, bo może się zniszczyć. Chciała pokazać, że ma eleganckie ciuchy, czy co? Pewnie żona przy mężu, siedzi w domu i nie ma gdzie się fajnie ubrać, więc przyszła tutaj wystrojona jak na jakąś konferencję dyplomatyczną!).

– Przecież nie wiedziałam, że to ona! Głupio wyszło, przyznaję. – Poczulałam się w obowiązku coś powiedzieć, chociaż przyznanie się do błędu wcale nie przyszło mi łatwo. No, ale nie mogłam znieść tych ich oskarżycielskich spojrzeń.

– Pewnie zaraz wróci – westchnęła z nadzieją mała w garniturze.

Nie wróciła.

Czas mijał, a my siedziałyśmy, bez słowa, w tej Norce u Nory. Wiedziałam właściwie tylko tyle, że kobieta, która miała nas uczyć lepienia garnków, ma na imię Nora. I że wcale nie umie tych garnków lepić. I herbaty pewnie też nie umie zaparzyć. Gdyby umiała, chyba by już z nią przyszła z powrotem, tak?

– Powinnam iść, zaraz mam próbę – odczuwała się truskawkowa w dresie. – A jeszcze muszę się przebrać. Nie mogę pokazać się zespołowi w takim stroju! Wyobrażacie sobie, wszyscy na czarno, neogotycki kościół, dyrygent we fraku i ja w dresie! – Zaśmiała się głośno, niemal po męsku i tak jakoś zaraźliwie, że ja i ta mała blondynka natychmiast zaczęłyśmy się śmiać razem z nią.

Chwileczkę... Przecież mówiła, że nie może śpiewać ze względów zdrowotnych. I że to świecki gospel. A teraz nagle kościół i dyrygent? Już chciałam o to zapytać, jednak mała blondynka odczuwała się pierwsza.

– Mogłabym pożyczyć ci garnitur, ale chyba nogawki i rękawy będą za krótkie. – Po raz pierwszy powiedziała zdanie złożone! – Jestem prosto po pracy, nie miałam czasu się przebrać, wrzuciłam tylko do torby jakiś stary fartuch moje-

go byłego narzeczzonego. A teraz to już chyba nie mam się po co przebierać, prawda?

Fartuch narzeczzonego? Był kucharzem? Rzeźnikiem? Nie zapytałam. W końcu co mnie to obchodzi. I tak się więcej nie zobaczymy.

– Lekarz? – odgłała od razu ta z truskawkowymi włosami.

Gośka, Kaśka czy jakoś tak. A może Aśka? Nie uważałam, jak się przedstawiała. Nie znoszę takich zdrobnień, które brzmią o wiele gorzej niż pełna forma. Gośka, Alka, Ulka, Ewka. Dobrze, że mojego imienia nie da się w żaden sposób zdrobnić ani skrócić. Marta to Marta, i już. Prosto, elegancko, pasuje do każdego wicku. Jeśli za coś jestem wdzięczna moim rodzicom, to właśnie za to, że nie jestem szaloną Ewką ani Zadzieram Nos Marysią, tylko Martą. To imię w sam raz dla mnie.

– Weterynarz. – Zaczerwieniła się, nie wiadomo dlaczego, ta nieduża w garniturze. Przecież weterynarz to nie jest wstydlivy zawód!

– Ja właśnie nie mam w domu żadnej, jak to określiła Nora przez telefon, typowej odzieży ochronnej – tłumaczyła się Aśko-Gośko-Kaśka. – Więc wzięłam stary dres. Nie będzie żal, jak się zachlapie tymi farbami do gliny. A poza tym pomyślałam, że to dobra okazja, żeby przybiec na zajęcia, zamiast jechać samochodem. W końcu to tylko osiem kilometrów ode mnie.

– Przecież osiem kilometrów? – Tym razem naprawdę mnie zaskoczyła. Wyglądała na taką, która nie jest w stanie wejść na drugie piętro bez zadyszki.

– Codziennie rano biegam przed pracą. Pięć kilometrów. A jak mam czas, to siedem... W weekend więcej, w ostatnią sobotę zrobiłam piętnaście. Moja Cloc ma wtedy kółko teatralne i od razu potem basen. Więc mam trochę czasu dla siebie.

Cloc! Co za imię!

– Przez C czy przez K? – zapytałam, chociaż byłam pewna, że znam odpowiedź.

– Przez C – potwierdziła moje przypuszczenia, jednocześnie zbierając się do wyjścia.

Kobiety z przaśnym imieniem często nazywają dzieci w taki niecznośnie pretensjonalny sposób. To się nazywa mechanizm kompensacji. Uczyłam się o tym na podyplomówce.

– No to chyba wszystkie pójdziemy, tak? – Spojrzałam na nie bezradnie. – Zatrzaśniemy drzwi, i już. W tej pracowni nie ma raczej nic cennego. A ta cała Nora na pewno zaraz wróci. Pewnie po prostu jej wstyd, że przejrzałyśmy jej nieuczciwe zamiary, i czeka, aż wyjdziemy.

Blondynka w garniturze chyba się wahała. W końcu i ona wstała z krzesła i sięgnęła do wieszaka po swój płaszcz. A potem znowu usiadła i zaczęła się bawić guzikami. Truskawkowa biegaczka też posadziła swoje duże pośladki z powrotem na stołku. Co było robić, poszłam w ich ślady. I znów w milczeniu wodziłyśmy wzrokiem po ścianach.

Nie wiem, jak długo by to trwało, gdyby drzwi, o których istnieniu nie miałyśmy pojęcia, bo wisiały na nich setki haczyków z narzędziami, które całkowicie zakrywały kłamkę i zawiasy, nie uchyliły się w końcu. W szparze pojawiło się pięć par oczu. Jak w jakimś filmie animowanym, jedne nad

drugimi. Nie patrzyły oskarżycielsko, lecz z wyraźną ciekawością.

– Są tylko trzy! – pisnął jakiś cienki głosik ze szpary. – Nornica mówiła, że trzy to za mało.

– Pójdziemy z torbami, jak nie będzie ich więcej! – pisnął drugi.

– Ciekawe, czy im się spodobało. – Nic byłam pewna, czy to był ten sam głos co poprzednio, czy może jeszcze inny. – Jakoś tak siedzą, jakby się nudziły.

– Może damy im radio do posłuchania? – zaproponował najmłodszy chyba, sepleniący troszkę dziecięcy głosik. – Jak my się nudzimy, to Nornica włącza radio.

– Włącza – poprawił go chór cienkich głosów z tej samej szpary.

A potem drzwi otworzyły się nieco bardziej i zobaczyłyśmy, kto prowadził tę interesującą rozmowę.

Pięciu rudych chłopców. Chyba chłopców. Najmłodsze dziecko było płci niezidentyfikowanej. Miało co prawda dżinsowe ogrodniczki i krótką czuprynkę, najbardziej ognistą z całej piątki, ale w końcu jak ktoś ma czterech synów, to pewnie córkę czesze i ubiera tak samo, z rozpedu.

Albo z biedy – przemknęło mi przez głowę. Łatwiej dać dziewczynce spodnie po starszych braciach, niż kupić jej sukienkę za sześćdziesiąt złotych. Ubranka dla dzieci są strasznie drogie. Właściwie im mniejsze dziecko, tym droższe ciuszki. Ostatnio stałam się prawdziwą ekspertką od niemowlęcych ubranek najlepszych firm...

Przywołałam się do porządku i obrzuciłam chłopców spojrzeniem. Dwaj z nich byli identyczni. Bliźniaki! Mieli

sześć, może siedem lat. Młodsze od nich było tylko dziecko w ogrodniczkach. Chłopiec w koszulce z dziwnym napisem „Dawaj, Julek, dawaj!” wydawał się może o dwa lata starszy od bliźniaków. Nad wszystkimi górował mierzący niemal tyle co drzwi, chudy jak patyk rudzielec w okularach. I to właśnie on odczwał się, popiskując dziwacznie:

– Gdzie jest nasza mama?

Nie chciałam się z niego śmiać, ale nie mogłam się powstrzymać. Piszcział dokładnie tak jak stara szafa w domu mojej babci.

– To mutacja, normalna sprawa w moim wieku – wyjaśnił dryblas, niewzruszony. – Za kilka miesięcy powinno być po wszystkim, chociaż czasami mutacja trwa nawet trzy lata. Czytałem o tym w encyklopedii zdrowia.

– Też tak mówiłam przez pierwsze tygodnie po operacji strun głosowych – rozcśniała się ta od biegania i Klotyldy, pulchna, z truskawkowymi włosami. Znów tak głośno i zaraźliwie, że po chwili chichotaliśmy wszyscy, nawet rude dzieci. A przecież w operacji gardła nie ma nic śmiesznego!

– Gdzie jest nasza mama? – Chłopak w okularach opamiętał się pierwszy i wyskrzypiał jeszcze raz to samo pytanie.

– Nie ma jej tutaj... na razie. – Truskawkowa chyba po raz pierwszy nie wiedziała, co powiedzieć.

Bliźniaki wymieniły porozumiewawcze spojrzenia i rzuciły się na nią z pięściami.

– Porwałyście Nornicę, tak? To twoja sprawka! Oddawaj! Oddaj naszą mamę, i to już!

Nornica? Te dzieci tak mówią na własną matkę? Aż przeszedł mnie dreszcz, gdy zrozumiałam, że ta kobieta pozwala

na takie zachowanie. Kto wie, może pewnego dnia wbiją jej nóż w plecy? Dzieci powinny mieć jasno wytyczone granice! Jak można tego nie wiedzieć?

– Gdzie jest nasza mama? – powtarzał okularnik jak mantrę, raz za razem.

Po chwili dołączył do niego młodszy brat, ten w koszulce „Dawaj, Julek, dawaj!”, najmniej rudy i najbardziej piegowaty z całej piątki. Bliźniaki natychmiast podjęły wyzwanie i skandowały razem ze starszymi. Oczywiście najmłodsze coś błyskawicznie uznało, że musi robić to, co wszyscy. I oto na środku garażu, zastawionego stołami i krzywymi krzesłami, piątka rudych dzieci tupiała miarowo nogami, krzycząc:

– Gdzie jest mama?! Oddajcie mamę! Gdzie jest mama?! Oddajcie mamę!

Chciałam zatkać sobie uszy i wyjść, byle tego nie słyszeć. Na moment nawet je zatkałam, niestety, to niewiele pomogło. Krzesło, na którym siedziałam, trzęsło się od ich tupania.

– Wystarczy! No już, cisza! – Truskawkowa wstała i klasnęła w dłonie. – Najstarsza dwójka, idźcie zrobić braciom kanapki i dajcie im pić. Macie w lodówce coś do jedzenia? No to świetnie. Zajmijcie się kolacją. Bliźniaki w tym czasie pościelą łóżka, zrozumiano?

Dzieci kiwały głowami zupełnie tak, jak tupaly, w tym samym rytmie. Jakby robiły to codziennie. Identycznie, równiutko. Powoli głowa w dół i szybko w górę. Sekunda przerwy i znów powoli w dół... Niesamowicie!

– A ja? – zapytało dziecko płci nieznanej.

Ciekawe, co truskawkowa wymyśli dla takiego brzdąca?

– A ty narysujesz dla mamy laurkę, zgoda? Mamie jest dziś trochę smutno. Bardzo jej się przyda laurka z kwiatkami.

– A mogę zrobić kwiatki z gliny? – zapytało dziecko.

– Możesz – zgodziła się truskawkowa. – Tylko nie tutaj. Weź glinę ze sobą, do kuchni. Twoi bracia mogą potrzebować pomocy przy robieniu kanapek. A więc lepiciej, żebyś tam był. Dobrze? Wszyscy wiedzą, co mają robić?

Dzieci znów pokियाły głowami i odeszły, gęściego, w równych odstępach, za zamaskowane drzwi.

– Nie mamy wyjścia, musimy znaleźć ich matkę – powiedziała szeptem truskawkowa. – Najwyraźniej nie parzy nam herbaty, chłopcy coś by o tym wiedzieli. Od początku to podejrzewałam. Skręciła przy piecu w lewo, do drzwi na dwór. I nie wzięła kurtki! Zadzwonię do dyrygenta, że mnie nie będzie na próbie. Wy też szybko zadzwońcie tam, gdzie się wybieracie po zajęciach. Powiedźcie, że się spóźnicie. A potem zrobimy burzę mózgów. Jak się trochę skupimy, na pewno zgadniemy, jak znaleźć Norę. Oglądałam taki program w BBC. Badali w nim, ile potrzeba czasu, żeby znaleźć dowolną osobę w dowolnym miejscu. To bardzo proste i wcale nie trwa tak długo, jak się zdaje. A dzieci nie mogą przecież zostać same na noc.



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49
faks 22 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl

www.wnk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Creamy Hi Bulk 60 g/m² wol. 2,4.*

PaperlinX

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*
Opicka redakcyjna *Joanna Kończak*
Redakcja *Iwona Krynicka*
Korekta *Katarzyna Nowak, Ewa Mościcka, Monika Halucha*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Agnieszka Czubaszek*

ISBN 978-83-10-12592-7

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014 r.

Wydanie pierwsze

Druk: EDICA Sp. z o.o., Poznań